

NACIŁO ŚWIATA

PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE,

POŚWIĘCONE OPISOM ZIEM, LUDÓW, PODRÓŻY, ZJAWISK PRZYRODY I WYNAŁAZKÓW.

№ 18.

Warszawa, d. 30 (17) Kwietnia 1904 r.

Rok III.

PIOTR LOTI.

INDJE.

w przekładzie
JÓZEFA JANKOWSKIEGO.

XI.

Poniedziałek, 1 stycznia 1900 r.

Po nocy ciepłej, podczas której nie ustał rytmiczny ruch wioseł, pierwsza jutrznia

nowego wieku powstaje świeża i różana, oblewając swym światłem dziewiczym ten cały świat rybożerny, wszędy czyhający, wszędy za żerem goniący. Niezmierzone laguny pośród palm wciąż stłaczających się i nachylających się nad brzegami, zasłane tu całym rojem czółen rybackich, które, ocierając się o nas, opóźniają jazdę; to wystają w tych miejscach, to krążą zapobiegliwie, czyniąc jak najmniej hałasu; ludzie w pozycji stojącej, w czuwaniu wspaniałym na pomostkach kołyszących się, trzymając w ręku to wędzierze,



Las palmowy nad laguną.

to wędy, to oszczepy, śledzą pilnie najłżejszy ruch wody. Ptactwo, pelikany, czaple najrozmaitszych gatunków, usadowiwszy się na szlamach, wysyłają na zwiady swe oczy czyhające, i po za tym haczyki, sieci nastawione, widły w pogotowiu, setki dziobów na straży. Masy drobnych żyjatek o krwi zimnej, drobnych istnień milczących, cały ten zbiornik lagun nieprzebrany, pociąga i gromadzi do kupy tych zjadaczy. Zorza nowego wieku nie z tego nie może odmienić: taki ład tu panuje od czasów początku.

Kiedy jeden z brzegów przybliżył się, dostrzegasz pod wielkimi palmami władnemi drobne ludzkie obejścia, społeczności pośledniej, której byt zawisł od tych drzew: opłotki z gałęzi palmowych, przeciągnięte od trzona do trzona; szałas pod pokryciem palmowym, sieci i sznury z włókien palmowych.

Cenne te drzewa udzielają nietylko cienia, owoców i oleju; opatrują tych, którzy mieszkają pod wieczną nocą ich zieleni, we wszystko, co do bytu niezbędne. Kraj ten Indji w istocie mógłby utrzymać się całkowicie z tych kilkunastu pól ryżowych, tu i owdzie mieniających się szachownicą makaty jedwabistej.

Laguny wciąż się rozszerzają, unosi się wietrzyk pieściwy. Wioślarze moi, pragnąc wzmóc jeszcze wysiłek swych mięśni, wciągają na maszt matę na wysokość trzech do czterech metrów; żagiel teraz i wiosła — szybkość zwiększona, płyniemy po tym osobliwym oceanie, którego brzegi są jedną miazgą leśną, miazgą błękitną oddali. Zasilani wiatrem, dmącym w matę naciągniętą, ludzie moi umiarkowują nieco rozpęd ramienia i poczynają pieśń odmienną. pieśń jakby nasenną, usty zamkniętymi; sprawia ona wrażenie dzwonu jakiegoś, idącego zdaleka bez końca, bez końca.

Atoli wiatr ustaje. Południe, spokój biały i upał łaźni. Dobijamy do lasu palmowego, by zmienić ranną załogę; oddalają się z głębokimi ukłonami. Nowi — bronzem jaśniejszym połyskliwi, z mnóstwem naszyjników, zausznic, ze znakami obrzędowemi, szaro malowanemi na piersiach, biorą się do roboty z humorem wprost szaleńczym. Powietrze jednak poczyna ciężyc wagą niezwykłą; rzekłbyś, że przesycone przytym parą ukropu. Niebo, powierzchnia lagun jakby zapyłona, zespół ludzi i rzeczy, przez zbytek tego światła jakby odbarwione, zlewa się i zacie-

nia w oślepiającej bledości. I jakby przeciwieństwo z tym ogólnym zasnućiem, krople wody, tryskające dokoła barki, sączące się z wiosel i krople potu, spływające po twarzach i piersiach, błyszczą blaskiem najczystszych rzniętych djamentów.

Koło trzeciej rozstajemy się z Trawankorem i wpływamy do małego państewka Kochińskiego bez żadnej zmiany na naszej wodnej równinie, ni w lasach, towarzyszących nam od samego wyjazdu. Pod koniec dnia na dwu brzegach, odległych jeden od drugiego, jak brzegi bardzo szerokiej rzeki, spotykamy miasta nadbrzeżne. Z prawej strony, na bliższym brzegu — miasto Ernaculum, stolica i miejsce pobytu radży. Wzdłuż lagun cztery kościoły syryjskie z wyglądem pagód, wielka świątynia Brahmy, koszary i szkoły; wszystko to czerwonawe na ziemi czerwonej; przytym ani śladu człowieka, ani barki nadbrzeżnej. Poza temi przybytkami wspaniałemi i smutnemi, osnutemi smętkiem leśnym, w cieniu błękitnawym majaceją siedziby braminów poniechane, pod palm wielkich naporem, pod spadkami splotów i paproci.

Życie tego kraju, z drugiej strony, na lewym brzegu, nieco w oddali. Naprzód więc miasto Matancheri, kupieckie, z tysiącem domków w zieleni; łączy się z pełnym morzem zatoką; na kotwicy niezliczone mnóstwo statków, statków staroświeckich, z dziwnemi masztami i żaglami; statki te, pomimo swej staroświeckości, brużdżą bez przerwy morza Arabji, handlują z Maskatem; docierają aż do skrajów zatoki Perskiej i do Bassory, przewożą zboże i towary kolonialne. Wreszcie tam — całkiem w dali — miasto Kochin, dawne Holendrów i Portugalczyków, dzisiaj należące do innych władców; posiada port, w którym statki społeczne dyszą czarnym dymem i przeciągłym gwizdaniem.

Pośrodku lagun, na uboczu od tych trzech miast tak różnych, znajduje się wyspa zadrzewiona, cała jak jeden park o drzewach prawieczystych; ku niej zmierza nasza barka; dostrzegasz już białe schody kamienne, pławiące się w zieleni, przystań białą i stary pałac biały. Tu, zda się, zamieszkać — podług zleceń radży tego kraju, który mnie podejmuje. Na tych trawnikach, wśród rozgałęzień przesutych, rzekłbyś, że to mieszkanie jakiejś królowny śpiącej: taka tu bajeczność, taka starowieczność, takie zakłęcia. Zmierzch zbliżający się

przydaje jeszcze więcej smętku tej wyspie samotnej.

Służebnicy indyjscy podobnie jak w Quilonie, cali biało ubrani, pośpieszają naprzeciw mnie po schodach kamiennych, wręczają bukiety z róż — i oto przerywam stary ogród wyszukany, z równiami na starą modłę alejami, z krzewami róż i jaśminów.

Na wyspie jeden tylko dom, a w domu tym — ja jeden. W czasach, kiedy Kochin należał do Niderlandów, była tu rezydencja gubernatora holenderskiego. Dom cały jednolity, jak forteca; galerje, werandy, rzędy łuków wieńczonych, w starym stylu przepięknym meczetów. Wewnątrz zbytek dawny, jaki panował w kolonjach. Sale olbrzymie, biało malowane, obite starożytnymi matami — piękności i wykończenia, o jakich nie mamy dziś pojęcia; stare i cenne sprzęty z drzewa rzeźbionego, niegdyś tu wykonane podług luźnych wzorów europejskich, pełne naiwności i staroświeczyzny; na ścianach akwarele, wyobrażające Amsterdam w wieku XVII; a przed wszystkimi drzwiami, ani w dzień, ani w nocy nie zamykanymi, wysokie ciemniki (ekrany) z hebanu, obciążone jedwabiem żółtym, prześlicznie spłowiałym.

Co się tyczy radzy, który mnie ugaszczą, to zwiastują mi, że nie będę mógł go widzieć, gdyż jest w żałobie i sprawuje obrzędy pogrzebowe: mały książę następca, dziecko jeszcze, zamknął czarne kwiaty swych oczu — i pośmiertne ceremonje pochłaniają cały dwór.

Zamiast tej samotności oficjalnej, o ileż bym wolał zamieszkać w Matancheri, w pierwszym lepszym domu zajezdnym, by móc się zmieszać tego wieczoru z tłumem ulicznym! Tu, jak i w Trawankorze, jestem w Indjach, jakby wcale w nich nie będąc.

Służący, milczący i wytworni, z chodem kocim, zapalają dla mnie wszystkie lampy, wiszące u łuków żąbkowanych — i gdy już skończyłem posiłek samotny przy stole, przybranym kwiatami i liśćmi ze smakiem przedziwnym, idę do ogrodu patrzeć, jak zapada pierwsza zorza wieku. Na niebie zachodnim, gdzie trwa jeszcze blask zarzewia mrącego, drzewa mej wyspy odznaczają się hieroglifami, znamiennie czarnymi; przez parę minut rozróżniasz jeszcze przedmioty; ptactwo zmierzchowe o skrzydłach bezszelastnych opisuje ponad alejami na niebie ciepłym swe krzywizny zbłąkane: sowy, puhacze, olbrzymie niedoperze.

Tuż po za tym poczynają drzeć gwiazdy, wszystkie naraz — i oto noc napastnicza.

(C. d. n.)



Wrażliwość roślin i ich ruchy.



Przed dwoma niespełna wiekami sam ten tytuł zakrawałby na bajkę lub żart z czytelnika, tak rozpowszechnione było mniemanie, że rośliny nie posiadają ani czucia, ani zdolności reagowania ruchami na bodźce zewnętrzne. Największy uczonej owych czasów, Linneusz, w swej *Philosophia botanica* (1751 r.), która dla nauk przyrodniczych ma epokowe znaczenie, twierdzi: „*vegetabilia crescunt et vivunt, animalia crescunt, vivunt et sentiunt*“ (rośliny rosną i żyją, zwierzęta rosną, żyją i czują). Niezależnie od tego w tymże samym dziele wspomina jednak, że pewne rośliny posiadają rodzaj wrażliwości, co określa wyrazem „*irritabilitas*.“ Dziś ustaliła się już naukowo prawda, że rośliny odczuwają podniety zewnętrzne, oraz, że istnieją takie ustroje roślinne, które nie tylko mogą zmieniać położenie poszczególnych swych organów, ale i przenosić się z miejsca na miejsce. Uczony i zamiłowany badacz fizjologii roślin, Kludjusz Bernard woła z zapalem: „*Eh bien, chose singulière, les plantes comme les animaux peuvent être anesthésiées et tous les phénomènes s'observent absolument de la même manière.*“ Badania nad rośliną istnieją dziś w każdej gałęzi wiedzy, w której prowadzi się badania nad zwierzęciem.

Jednak natura wrażliwości roślin, natura i pobudki ruchu pozostają niewytlómaczone. Stwierdzono wprawdzie, że pod wpływem np. dotknięcia, woda, zawarta w tkankach niektórych roślin, usuwa się z części podrażnionej do dalszych, powodując zmianę prężności i ruch, lecz pozostaje nierozwiązanym pytanie: czym roślina odczuła dotknięcie, czemu odpowiedziała nań właśnie wpływem wody z podrażnionych tkanek, a nie inaczej? Ruchy roślin zaliczają się do grupy t. zw. mimowolnych czyli odruchów, jakie i u zwierząt napotykamy. Biolog niemiecki, Sachs, sprowadza takie odruchy i u zwierząt i u roślin do wrażliwości substancji, złożonej z soli mineralnych, wody i kwasu węglowego, która tworzy organizmy zwierzęce i roślinne.

Był czas, gdy teoria, odmawiająca zwierzętom wszelkiej świadomości w odczuwaniu podrażnień zewnętrznych i w ruchach, nazywająca zwierzę automatem, miała setki zwolenników. Duma ludzka i chęć wyróżnienia się granic niema i tu odgrywały one wielką rolę. Król stworzenia długo i uparcie powtarzał, że on jeden myśleć, czuć i chcieć potrafi, nim wreszcie uchylił z pokorą głowy i przyznał, że w „stworzenia łańcuchu” on tylko starszym i rozumniejszym bratem. Świat zwierzęcy zajął w nauce należne mu stanowisko,

jedynie z narzędziami, cyframi i chciwością badacza, pozbawiony iskry miłości i wczucia się w nią.

Z pośród różnorodnych ruchów roślin możemy wyodrębnić kilka głównych ich rodzajów, mianowicie: dowolne przenoszenie się z miejsca na miejsce; ruchy, wywołane jakimś bodźcem zewnętrznym: mechanicznym (zetknięcie, uderzenie) fizycznym (światło, ciepło, elektryczność) lub chemicznym (dotknięcie lub zbliżenie pewnych substancji chemicznych). Wyróżniamy też ruchy rytmiczne, powstałe bez widocznego zewnętrznego wrażenia i stale, perjodycznie się powtarzające.

Fig. 1.



Postaci pełzaka pierwotnego w kilku po sobie następujących chwilach.

dzisiaj mamy nie tylko systematykę, fizjologję psa np., lecz i jego psychologję, naukę o „duszy” zwierzęcia. Może więc taki los czeka i rośliny, może za 3 wieki po wielu walkach i sporach, przyzna człowiek i roślinom jakąś „du-

Fig. 4.



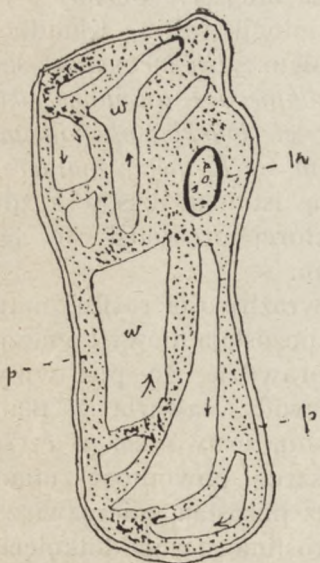
Śluzowiec.

Fig. 5.



Drgalnica.

Fig. 2.



Komórka włoska glistownika powiększona 460 razy
k—jądro.
w—wodniczki.
p—protoplazma, poruszająca się w kierunku strzałek.

Fig. 3.



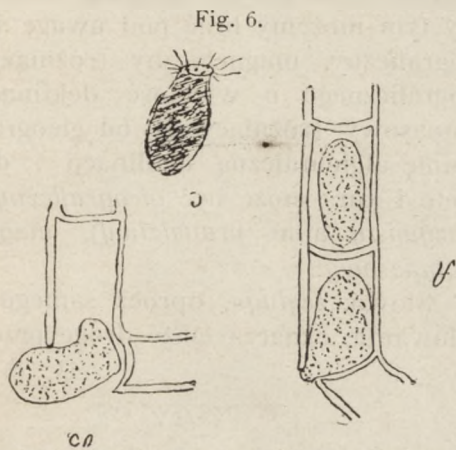
Ruch kołowy (rotatio) w komórce roślinnej.

szę,” im właściwą. I gdy duch człowieczy przeniknie i pozna ducha przyrody, wtedy dopiero stanie się ona dlań otwartą księgą; nie jak dotychczas, gdy przystępuje do niej

Zajmiemy się najpierw ruchami protoplazmy roślinnej; po pierwsze dlatego, że większość badaczy usiłuje ściągnąć i ruchy wyższych roślin do ruchów protoplazmy, następnie, że protoplazma właśnie reaguje na najślabsze nawet bodźce wszelkich rodzajów i w rozmaity sposób, oraz posiada w wysokim stopniu zdolność samodzielnego, nie wywołanego podniecią zewnętrzną, poruszania się.

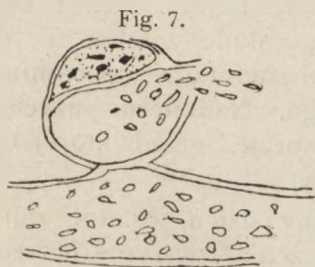
Wrażliwość protoplazmy na podrażnienia uwydatnia się albo przez kurczenie się i wyciąganie na miejscu, co nazywamy tropizmem, albo przez taktyzm t. j. posuwanie się naprzód lub cofanie. Często spostrzegamy gwałtowne wydalenie z protoplazmy wydzielin pod wpływem dotknięcia. Protoplazma nie pozostaje w spoczynku ani chwili; obserwując ją przez mikroskop, widzimy wciąż wysuwanie i wsuwanie niby nóżek (*pseudopodes*), przelewanie się w nie całej substancji, wskutek czego następuje zmiana miejsca (fig. 1). Wreszcie we wnętrzu komórki odbywa się ruch bezustanny: protoplazma przesuwa się od jądra ku ściance, wzdłuż ścianek i innymi drogami wraca ku jądro; ruch ten zwiemy krążeniem—*circulatio* (fig. 2). W komórkach,

których środek zajmuje wodniczka, a protoplazma wyściela tylko z wewnątrz ściankę, odbywa zaródź wraz z jądrem ruch kołowy — *rotatio* — koło ścianek (fig. 3). Migawki komórki poruszają się rytmicznie jak mikroskopijne wahadełka, a biczyki i blaszki falujące odbywają poruszenia nieregularne, jakby dowolne. Włókienka komórki kurczą się chwilami — nazywamy to *ruchem mięśniowym*. Przyczyny tych ruchów polegają dotąd na zawitych hipotezach, nad którymi niepodobna



Tworzenie się pływek u wodorostu *Oedogonium* powiększ. 300 razy.

się tu rozwozić. Zmieniać dowolnie miejsce mogą tylko rośliny jednokomórkowe, lub kilkokomórkowe, czyniąc to albo z pomocą niby-nózek, albo też wiosłując w wodzie rzęskami. W pierwszy sposób odbywają swe wędrówki śluzowce — *Myxomycetes* (fig. 4), sinice — *Cyanophyceae* np. drgalnica — *oscillaria* (fig. 5), która, posuwając się naprzód lub



Tworzenie się pływek u zrostnicy (*Vaucheria sessilis*), powiększ. 250 razy.

w tył, odbywa przytym bezustanny obrót około swej podłużnej osi. Rzęsek używają, jako organów ruchu, niektóre wodorosty i pływki. Wziąwszy pod obserwację wodorost *Oedogonium*, możemy niekiedy spostrzec zaródź, wysuwającą się przez szczelinę w błonie komórki. Na wolności zostaje ona zaopatrzona

w rzęski i wiedzie, jako pływka, wesołe, bez troski życie, poruszając się dowolnie (fig. 6). Lecz wkrótce natura powołuje ją do wypełnienia wielkiego zadania: pływka obrasta w błonkę, traci zdolność ruchu, rzęski zanikają i mamy przed sobą komórkę *Oedogonium*, zdolną rozmnażać się, wydawać znowu także pływki. Podobny fakt widzimy w zrostnicy (*Vaucheria sessilis*): zaródź jej dzieli się w plemni na małe cząsteczki i wydostaje się na zewnątrz, gdzie każda taka cząsteczka staje się pływka (fig. 7). Na zasadzie tej wielkiej ruchliwości długi czas zaliczano pływki do zwierząt, które wytwarzają się z rośliny i po jakimś czasie znów się w nią przekształcają; stąd naukowa nazwa pływek: *zoospory*.

(d. n.)

Jadwiga Wodzińska.

Współczesna żegluga morska

napisał

MARJUSZ ZARUSKI,

szturman marynarki handlowej.

(Ciąg dalszy.)

Taką jest treść główna przepisów, a oto kilka komentarzy do nich: w nocy wszystkie statki bez wyjątku, znajdujące się w ruchu, z prawej strony mają światło *zielone*, z lewej *czerwone*; statki parowe oprócz tego światło *białe* na fok-maszcie. Statek, holujący inne, powinien mieć oprócz zielonego i czerwonego dwa, a nawet trzy białe światła na fok-maszcie. Statki, pozbawione możliwości ruchu, mają dwa światła czerwone na maszcie. Statki, tak parowe jak i żaglowe, stojące na kotwicy powinny wywiesić na noc światło białe na maszcie, a większe oprócz tego także światło na rufie.

Przy spotkaniu statak żaglowy, idący pod wiatr (bejdemwind) lewym halsem, ustępuje z drogi statkowi, idącemu pod wiatr prawym halsem (skręca zatem wprawo i przechodzi pod rufą); statek, idący pełnym wiatrem, ustępuje z drogi statkowi, idącemu pod wiatr; przy jednakowym kursie i pełnym wietrze statek nawietrzny ustępuje zawietrznemu. Statek parowy ustępuje każdemu żaglowcowi bez względu na kurs tego ostatniego. Przy spotkaniu dwu parostatków, których drogi się krzyżują, ustępuje z drogi ten z nich, który ma drugi parostatek z prawej swej strony.

Następujące wreszcie sygnały oznaczają prośbę o pomoc w razie katastrofy: 1) wystrzały armatnie co minuta; 2) odgłos dzwonu, gwizdawki lub tuby, powtarzany bez przerwy i, zależnie od pory; w dzień—3) sygnał flagowy, oznaczony w międzynarodowym zbiorze sygnałów literami NC, albo jakabądź kwadratowa flaga i kula lub coś podobnego do kuli na maszcie; w nocy — 4) płomień na pokładzie: np. płonąca beczka smolna, rakiety i t. p.

Tym rozdziałem kończymy całą praktyczną część żeglarstwa—tak budownictwa jak i wiedzy żeglarskiej. Pozostaje teoria. Jej też poświęcimy rozdział następny.

Teoria żeglugi.

Podstawą nautyki, czyli teoretycznej nauki o żegludze, jeżeli wykluczymy z niej żaglowanie wzdłuż znanych brzegów — t. zw. żeglugę na oko — jest matematyka. Na niej też w zupełności opierają się liczne wzory, tablice i schematy, których używają żeglarze dla rozwiązania praktycznych zadań żeglugi. Żegluga bowiem w najistotniejszej jej części—to dla żeglarza cały szereg zadań matematycznych, co chwila się zmieniających, odpowiednio do zmienności swych funkcji: czasu, kierunku i przebytej drogi.

Nie idzie nam tutaj o szczegółowe poznanie sposobów rozwiązywania zadań nautycznych — zadanie takie będziemy mieli niżej w postaci przykładów, ale o zrozumienie założeń, na których one się opierają. Zanim jednak przystąpimy do tego, musimy wyraźnie zdać sobie sprawę, co będzie przedmiotem naszych roztrząsań, również rozejrzeć się w mapach, wyłącznie (prawie) używanych na morzu.

W szeregu niezliczonych zadań, następujących się lub mogących się nastąpić żeglarzowi do rozwiązania, dwa zasadnicze wstępują na plan pierwszy:

1) Znaleźć kierunek, w którym, przy uwzględnieniu wszystkich wpływających na żeglugę czynników (wiatru, prądu wody, magnetyzmu ziemi, wreszcie właściwości samego okrętu) płynąć należy, ażeby drogą najkrótszą i najbezpieczniejszą dostać się z jednego punktu, oznaczonego na mapie, do drugiego.

2) Znaleźć na mapie punkt, w którym w danej chwili znajduje się okręt. Dwa te

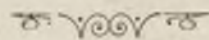
zadania właściwie są treścią całej nautyki, — przynajmniej jej strony praktycznej.

Niżej będziemy co chwila się spotykali z pewnymi terminami, od ścisłego określenia których wiele będzie zależeć. Dlatego na wstępie je podajemy.

Pod słowem: „kurs“ w potocznej mowie rozumie się kierunek, w którym statek płynie. W żeglarstwie jednak *kursem* nazywa się kąt, utworzony przez płaszczyznę dżametralną okrętu z południkiem danego miejsca. Ponieważ zaś przy tym możemy brać pod uwagę południk geograficzny, magnetyczny (różniący się od geograficznego o wielkość deklinacji), lub kompasowy (różniący się od geograficznego o sumę algebriczną deklinacji i dewjacji), przeto i kurs może być *geograficzny* (inaczej *rzeczywisty* albo *prawdziwy*), *magnetyczny* i *kompasowy*.

Słowo: *żegluga*, oprócz samego procesu żeglowania, oznacza także drogę przebytą.

(C. d. n.).



Śmierć, zabobony i obrzędy pogrzebowe u różnych ludów.



(Dalszy ciąg.)

Trzeci dzień wypełniają uroczystości, połączone z przeniesieniem trumny do „sandong-raung“, następny zajmują przygotowania do właściwej zabawy, której poświęcony jest dzień 5-ty i 6-ty: nawet krewni zmarłego zrzucają suknie żałobne i zaciągają się do grona biesiadników, co najmniej z 1,000 osób złożonego. Nadmierne użycie trunków wywołuje orgję, przed której opisem wzdryga się dusza.

7-my dzień, ostatni, zajmują ceremonje „oczyszczenia“: wszyscy uczestnicy obchodów poprzednich stali się nieczystymi przez zetknięcie z przedmiotami, dotyczącymi zmarłego; muszą więc kolejno wstępować do łódki, którą kapłanka przewraca na środku rzeki: kto nie umie pływać—niech tonie, a nad głowami tych, którzy szczęśliwie przybijają do brzegu, inne kapłanki wywijają pochodniami smolnemi, sypią ryż, który potym zjadają czarne kury. „Tivah“ skończone.

Taki jest pogrzeb Dajaka.

Drugim rodzajem grobów są spalane

wraz z kośćmi i garnkiem z sokami nieboszczyka; popiół przechowywa rodzina w misternej szkatułce, na wieczną pamiątkę.

Niemal wszystkie plemiona malajskie obchodzą kilkakrotnie uroczystość pogrzebu jednego nieboszczyka. Pochowawszy go raz, odgrzebują po miesiącach, albo i latach, gdy można wnosić, że proces rozkładu dobiegł już do końca i chowają powtórnie, zazwyczaj na stałe, niekiedy do następnego odgrzebania. Zabawy i święta, w rodzaju opisanego, towarzyszą tym obchodom. Galela i Tobelorezi, po pogrzebie z pijatyką, śpiewami i tańcami, odkopują zmarłego po roku, urządzając „święto zamiany“, trwające cztery doby, a powtarzane przez 4 lata; za każdym razem trupa wynoszą na świeże powietrze, zmieniają dawną trumnę na nową, przyczym nieraz gubią połowę kości.

Różne zwyczaje pogrzebowe wśród dzikich mają ten rys spólny, że pogrzeb, z nader rzadkimi wyjątkami, nie odbywa się zaraz po śmierci; długość czasu od zgonu do pogrzebu, pozostaje w związku z pojęciami, jakie żywi dane plemię o życiu pozagrobowym. Średnio zwłoki czekają obrzędu pogrzebowego od 9 do 1,000 dni; trup naczelnika okręgu dolnej Kapuy, Tomonggonga Singa Negara, leżał, w domu brata, wystawiony z największą paradą, od r. 1861 do 1863. Jak już było wspomniane przy opisie pogrzebu u Dajaków, nieraz wpływa na to odkładanie pogrzebu brak środków. Kosztowne pogrzeby są też właściwością np. Alfurów z Halmahera, gdzie święto umarłych trwa przeszło miesiąc, u Milano na Borneo kilkanaście dni. Kirgiz, urządzając święto umarłych, oddaje nieraz pod nóż całą swoją trzodę, gdy sam żywi się tylko mlekiem swej trzody i jego przetworami. Góral nilgirski oddaje na stypę swoje jedyne bawoły, cały swój majątek. Na stypie takiej przynajmniej żywi się obtykają, ale plemiona patagońskie zakopują ze zmarłym wszystkie zwierzęta, które do niego należały. Tatar zabiera z sobą do grobu ukochanego wierzchowca, Beduin swego wielbłąda, Czerkies—cztery reny, aby miał czym jeździć na tamtym świecie. Ofiary ludzkie stanowią ciemniejszą stronę pogrzebów ludów pierwotnych; są one wynikiem głębokiej wiary, że życie pozagrobowe jest dokończeniem życia, rozpoczętego na ziemi: przejęta tą ideą dobra żona nie opuści swego męża po jego śmierci; wojsko, damy, rycerze, służba, pójdą za swo-

im władcą, dokąd powoła nowe życie, a czynią to z pogodnym czołem i z zupełnym spokojem.

Na wyspach Fidżi, gdzie do niedawna jeszcze było w zwyczaju, że żony zmarłego, przybrane odświętnie, upudrowane i namaszczone olejami, duszono na pogrzebie, misjonarze robili wszelkie możliwe wysiłki, aby zapobiec tej wstrętnej uroczystości. Na ich przełożenia, widzowie byli gotowi uwolnić ofiary od śmierci, cóż, kiedy one same nie chciały w żaden sposób pozwolić, aby mąż ich na drugim świecie pozbawiony był należytego zastępu żon. *Volens nolens*, na pogrzebie Ra-Mbity zaduszono jego 70 żon. Mieszkanicy wyspy Salomona nieraz nie czekają śmierci z niczyjej ręki, lecz, przekonawszy się o śmierci swego małżonka, odurzają się sokiem rośliny nasennej i wieszają na drzewach poblizkiego lasu. Na Anaiteum mężatka, od chwili zamałżeństwa, nosi postronek na szyi, który jej nieustannie przypomina o obowiązku, jaki na niej ciąży w razie wcześniejszego zgonu jej pana i władcy. U niektórych plemion afrykańskich, jak Wadoe, Uniamwesi, żony, niewolnice i niewolników, grzebie się żywcem, w postawie siedzącej, a na kolanach składa się zwłoki zmarłego; usypany kopiec dusi, zagrzebuje żywcem ofiary. Dziksze jeszcze zwyczaje panują u niektórych plemion murzyńskich, aczkolwiek zdają się odstępstwem i złagodzeniem: oto, zagrzebawszy wdowę wraz z mężem, nie zasypują grobu szczelnie, lecz zostawiają mały otwór, przez który nieszczęsna ofiara może oddychać; nie wolno nikomu jej odwiedzać i podać choćby kropli wody; jeżeli w takim położeniu wytrwa dwa dni — bywa ocalona, lecz takie przypadki trafiają się bardzo rzadko.

Plemię Ewe, zamieszkałe w Dahomeju i Togo, przewyższa inne pod względem ilości ofiar ludzkich, wysyłanych na drugi świat podczas pogrzebów. Śmierć zwykłego człowieka pociąga kilka, kilkanaście, a nawet kilkadziesiąt ofiar. Na stypie królewskiej za niezupełnie odpowiedni pogrzeb uważano taki, na którym wysłano za wielkim władcą—2,000 osób; znanym jest bowiem fakt, że jedno takie święto pożarło odrazu 10,000 ludzi, a w dodatku, aby król miał coraz inne żony, dworzan i służbę, powtarzano podobne uroczystości co roku.

W ostatnich czasach, na szczęście, maleje ilość tych ofiar: już podczas pogrzebu kró-

la Gezo, w r. 1859, zabito tylko... 500 osób, co, w porównaniu z poprzednią liczbą, jest niemałym objawem cywilizacyjnym.

Zwyczaj palenia wdów panował w Indiach bramińskich jeszcze do niedawna. W Chinach, nawet dotychczas, prawdziwie kocha-



Pogrzeb Gilaka.

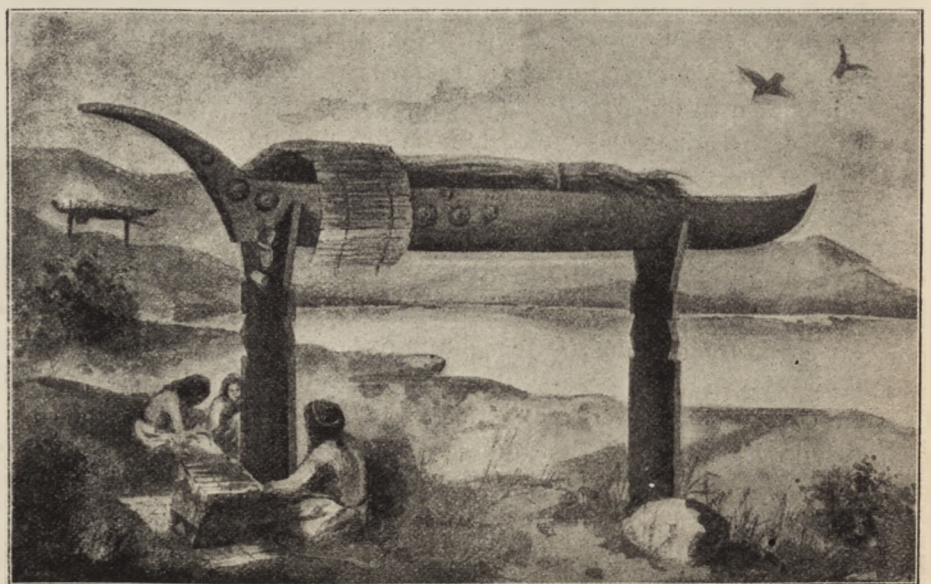
jąca żona popełnia po śmierci małżonka samobójstwo, często publicznie. Barbarzyńskie te praktyki poczynają się tu i owdzie przeżywać, gdzieindziej zaś, straciwszy wszelką żywotność, zastąpione zostały nic nie znaczącymi formami.

Kuakeoltowie kładli wdowę na stos, obok zwłok męża, ale gdy drzewo zajęło się płomieniem, uwalniano ofiarę, często dobrze poparzoną, a nawet ledwie żywą. To też nieraz się zdarzało, że w kilka dni poparzona wdowa szła za mężem; jeżeli zaś wyzdrowiała, to nosiła z sobą popioły zmarłego przez 3 lata na znak żałoby i przywiązania. Mieszkańcy Żółtego Wybrzeża, jako słabe echo zwyczaju, zamykają wdowę w ciemnym więzieniu, bez jadła i napoju, do końca uroczystości pogrzebowych.

W Chinach grzebią ze zmarłym posługaczy do noszenia parasoli i lektyki, oraz jeźdźców, na szczęście — jednych i drugich... papierowych: lalki te są figurami zastępczemi dawniej zabijanych ludzi.

Zdaniem wielu ludów pierwotnych, nie tylko ludzie i zwierzęta, ale i przedmioty nieżywotne mają swoją duszę; w związku z tym u Algonkinów grzebią wojownika z całym jego rynsztunkiem wojennym: z maczugą i muszkietem, farbą wojenną, fajką, kobiecie natomiast dają w rękę wiosło, stawiają obok niej naczynie i nakładają... jarzmo do noszenia ciężarów. Nawet ubogie plemiona w Kalifornji chowały z nieboszczykiem wszystkie jego narzędzia i wszelką broń, jakiej używał za życia. Irokeza kładziono do trumny z farbą, aby miał czym umalować się, zanim wstąpi na próg nowego świata. Jakutowi wrzucają do grobu wszystkie kosztowniejsze rzeczy, tudzież siodła, lub oszczepy, czy też narzędzia rzemieślnicze. dzieciom — zabawki, a na drzewach obok grobu — kołyski; na grobach czarodziejów, czyli „szamanów“, w miejscach głuchych, ustronnych, gdzie tylko przypadkiem zabłądzi człowiek, rzucają bęben szamański i „żelazną odzież“ szamańską. Niektóre ludy, nie uznając wiary w dusze przedmiotów, mimo to, grzebią umarłych z rzeczami, które stanowiły ich najbliższą własność.

W pojęciu wielu plemion pierwotnych,



Trumna Indian półn.-zach. Ameryki.

przez śmierć jednego z członków rodziny, inni krewniacy stają się nieczystymi. Na Ma-

dagaskarze, każdy, kto był na pogrzebie, uważany jest za nieczystego. Żałoba ma swą gienezę w oczyszczeniu. U wielu plemion indyjskich, tudzież licznych ludów Ameryki i Oceanji, rozpowszechniony jest zwyczaj ucinania jednego członka z palca, po śmierci



Grób Seminolów w Ameryce Półn.

każdego, bliższego krewnego; to też niektóre stare kobiety miewają za ledwie po jednym palcu u każdej ręki, a i ten często nie jest całkowity.

Niemal pierwszą czynnością mieszkanki Tahiti po ślubie jest założenie w drzewce odpowiednie, ostrych jak szpilki, zębów rekina, aby niemi kaleczyć sobie ciało po śmierci męża. Mieszkańcy Tonga po zgonie najbliższych ranią się zaostrzoną muszlą. Krajowiec Kangombe w Bihe, w Afryce południowej, nie wyraża swego żalu w tak barbarzyński a bolesny sposób: wystarcza ogolenie głowy i pomalowanie ciała żółtą ziemią, aby wiadano, że jest w żałobie. Mieszkaniec Zulu wkłada biały turban na ogoloną głowę, kobieta zaś—zastłania twarz.

Wspomniany kolor żółty, na znak żałoby, nie ma wielkiego wzięcia; za barwy żałobne uchodzą przeważnie: biała i czarna, więc wdowy po krajowcach Kamerunu i wielu plemion australskich malują się na białą, kobiety Motu czernią się pewnym gatunkiem ziemi z połyskiem metalicznym, dorabiając kredą na czarnym tle, w pobliżu policzków, duże białe koła, które bujna wyobraźnia tuziemców nazywa... łzami.

(D. n.)

Stręcił K. II.

Morze w życiu narodów.

(według *Alfreda Kirchhofa*).

Jedynym bezwarunkowo pierwszorzędnym mocarstwem na ziemi jest—morze. Przedewszystkim z morza powstał ląd, który i teraz jeszcze, rozdrabniając się na wyspy, jedynie gdzieniegdzie przerywa bezmierny ocean.

Tylko morze łączy w całość organiczną oponę powietrzną i pancerz kamienny ziemi, gdyż w istocie ziemia wciąż jeszcze jest planetą, oblaną oceanem.

Podobnie i tajemnicze pochodzenie życia organicznego musimy przedstawiać sobie jako brzemienne w następstwa wypadek, który zaszedł w głębinach morskich wtedy jeszcze, kiedy nie było lądu i kiedy cała kula ziemską nierozdzielnie otoczona była oceanem, spowitym w warstwy atmosfery. Żyjące na lądzie formy roślinne i zwierzęce początek swój wiodą od przodków morskich.

Jednakże wskutek przystosowywania się do warunków życia po za morzem, przystosowywania, trwającego wieki, utworzyła się przepaść głęboka pomiędzy organizmami lądowymi a morskimi.

Jakkolwiek rzeki i jeziora z jednej strony, a morze z drugiej, stanowią środowiska pokrewne, niemniej jednak zwierzęcy świat ich, z nielicznymi wyjątkami, wybitnie różni się jeden od drugiego.

Niektóre ryby, naprzykład: węgorz, mogą żyć tak samo w wodzie słodkiej, jak i w słonej, inne ryby morskie powoli przywykają do mniej słonej wody ujść rzecznych, potomkowie zaś ich wpływają w samo koryto rzeki, zostając już na zawsze w wodzie słodkiej.

Wieloryby rodzą się na lądzie; ptaki, obdarzone silnymi skrzydłami, żywiące się rybami, nprz.: fregata, albatros—dniami ealemi latają na swych potężnych skrzydłach nad otwartym morzem, o tysiące kilometrów od brzegu.

Bez względu jednak na to linja brzegów pozostaje granicą rozpowszechnienia stworzeń żywych na ziemi. I człowiek, którego cała organizacja wskazuje na to, że w epoce trzeciorzędowej przodkowie jego żywili się pokarmami roślinnymi, był, naturalnie, od początku wyłącznie mieszkańcem lądu. Pas nadbrzeżny lądu wschodniego może być uważany za ścianę zewnętrzną domu rodzinnego człowieka pierwotnego.

Kiedy człowiek ujrzał morze po raz pierwszy, mogło ono wywołać w nim tylko uczucie

przestrachu: było posępne i nawet na ojczywym gruncie ziemi-karmicielki, groziło człowiekowi strasznymi niebezpieczeństwami pod postacią gwałtownego przypływu, okropnych powodzi, przerażającej burzy.

Wobec szeroko rozpostartego i napierającego z żywiołową siłą wroga, mezaradny człowiek od początku czuł się w pozycji obronnej, szczególnie na brzegach niskich, gdzie podnoszenie się i spadek poziomu wód morskich podczas przypływu i odpływu powoduje perjodyczne powodzie, sięgające daleko po za granice niskiego brzegu.

Plinusz dał nam dramatyczny obraz tej odwiecznej walki z oceanem, która odbywała się za czasów cesarstwa Rzymskiego na wybrzeżu germańskim Morza Północnego, kiedy nie było tam jeszcze wałów ochronnych.

— „Codziennie — opowiada Plinusz — przypływ zatapiał tę ziemię, zamieszkaną przez plemię germańskie, tak, że mieszkańcy chowali się do chat i siedzieli w nich dopóty, dopóki odpływ nie uwalniał ich; jak rozbitki wypelzali oni ze swych ciasnych mieszkań i rzucali się do łapania ryb w odpływającej wodzie morskiej, lub zbierania pozostawionych przez fale wodorostów morskich.

Widzimy, że tu już walka o byt pomiędzy człowiekiem a morzem prowadzona jest przy pomocy udoskonalonych środków. Mieszkańcy sypali kopce, t. zw. *Wurten*, które służyły za pewne podwaliny dla ich mieszkań; kopcami takimi posługują się i teraz mieszkańcy wysp nizinnych na zachodnim brzegu Szlezewigu, zbyt niskim na to, aby można było zabezpieczyć go za pomocą tam.

Należało jeszcze tylko wznieść „złoty pas“ tam wzdłuż brzegu... i pas ziemnowodnych perjodycznie zatapiany zmianami przypływu i odpływu zmienił się w grunt twardy z pięknymi łąkami i urodzajnymi łanami pszennymi.

Z historii wiemy, jak dobroczynne skutki miało to zwycięstwo nad morzem dla mieszkańców brzegów niemieckich i holenderskich.

Fryz po ostatnim uderzeniu łopata dumnie wydał okrzyk zwycięstwa, zwracając się do „białego Hansa“ t. j. do morza, wciśniętego teraz w ściśle granice: „Sroż się teraz, biały Hansie!“ — Było to równoznaczne z innym wyrażeniem: „*Deus mare, Batarus litora fecit*“.

Zwycięstwo, odniesione nad tak potężnym przeciwnikiem, natchnęły mieszkańców pełnym poczucia wolności uporem, a im więcej wzniesione tamy wymagały pracy wspólnej, potrzebnej dla

utrzymania dzieła ogólnego w stanie pierwotnym, tym bardziej rozwijało się za tym wałem ochronnym, zabezpieczającym przed napaścią tyran-oceanu, poczucie karności społecznej, nakładającej wędzidła na egoistyczne popędy jednostek.

To samo zjawisko o kilka tysiącleci przed tym zaobserwować było można przy budowie tam i kanałów Hoang-ho w Babilonie i w Egipcie. Bezwarunkowo jednakże ważniejszym jest drugi krok stanowczy, zrobiony przez człowieka w epoce zamierzonej starożytności... ta mianowicie chwila, w której przemógł on strach wobec nieznanego, śmiało powierzył się wrogowi żywiołowi i popłynął po niezmiernym burzliwym morzu — na wątlwym promie, w wydrążonym pniu drzewa lub wreszcie w łódce, nieumiejętnie skłeczonej z bierwion.

Rozdzieliwszy się w czasie dalekich wędrówek na oddzielne, obce jedna drugiej grupy, ludzie niejednokrotnie zmuszeni byli, znalazzsy się na brzegu morza, dokonywać tego ważnego kroku naprzód, zawierającego w sobie zadatek przyszłego panowania człowieka nad światem.

W tych miejscach, gdzie rzeki wpadają do mórz, ludzie mogli ośmielić się, by spróbować dotrzeć na promach do otwartego morza; z drugiej strony dążenie do dłuższych wędrówek po morzu wpływ dało początek bezpośredni tak udoskonalonej obecnie sztuce budowy i kierowania statkami morskimi, przy których pomocy ze wszystkich stworzeń jeden tylko człowiek mógł przekroczyć granicę linii nadbrzeżnej we wszystkich kierunkach, aż do najbardziej odległych miejscowości.

Jakiż, ogólny dla całego świata, bodziec popychał człowieka do szalonego odważnego kroku, jakim było puszczenie się na ocean?

Prawdopodobnie, najczęściej głód — ten posępny a wszechmocny wychowawca ludzkości, jak możemy przypuszczać ze zwyczaju wylawiania ryb podczas odpływu; pozatym ucieczka pannie przed groźnym, wrogim plemieniem mogła często nasunąć myśl szukania ratunku na morzu. A wreszcie, jeśli naród przez długi czas mieszkał na brzegu morza, to dwie okoliczności mogły powoli wzbudzić w człowieku zaufanie do żywiołu, początkowo wydającego mu się strasznym: obfitość na brzegach cennych zwierząt morskich i powabny widok brzegów przeciwnych — lub to i tanto razem.

Brak środków odżywiania się w krajach podbiegunowych nigdy nie dawał Eskimom możności przekraczania 80-go stopnia; bardziej jednak na granicy tej utrzymywała ich obfitość

pożywienia w bogatym świecie zwierzącym morza Lodowatego, mianowicie polowanie na foki pędziło tych odważnych mieszkańców podbiegunowych krain wzdłuż lodowatych zatok Ameryki na najdalsze krańce północnego lądu, na jakich kiedykolwiek mieszkał człowiek.

Kolonizacja grecka, kierując się ruchami ryb, posuwała się od morza Egejskiego wzdłuż brzegu Pontyjskiego Azji Mniejszej, a kolonizacja ich nauczycieli w sztuce żeglarskiej — Fenicjan, pozostawiła ślady swego wpływu w różnych miejscowościach na brzegach morza Śródziemnego, na których znaleźć było można muszle, służące do wytwarzania farby purpurowej. Jednak i poza krajami północnymi, tam, gdzie wewnątrz kraju odpycha człowieka dzikimi skałami, błotami i gąszczem leśnym, a morze, przeciwnie, daje mu dobre pożywienie z ryb i raków, spotykamy ludy, które na podobieństwo ptaków morskich, żyją prawie wyłącznie na koszt morza, a na lądzie budują sobie tylko mieszkania.

Do nich należą mieszkańcy najdalej wysuniętych na południe, zaludnionych punktów Ziemi Ognistej, Indianie „Tlinkit“, zamieszkujący południowy wschód Alaski, tak samo poprzerynany fjordami, jak półwysep Skandynawski; Indianie ci do tego stopnia zrosli się ze swemi znakomicie zbudowanemi łódkami, że po ziemi chodzą niechętnie i nieumiejętnie.

(C. d. n.)

P. W.

Na kanwie esperanckiej.

—❁—

(Ciąg dalszy.)

Opromienione będzie wówczas chwałą imię jednego z największych „idealistów“ na świecie — Ludwika Zamenhafa, twórcy języka „Esperanto.“ Ten skromny człowiek, którego imię ze czcią wymawiają zagranicą tysiące esperantystów — a wśród nich ludzie wiary niezwykłej — w Warszawie jest zupełnie prawie nieznan. Wiele osób nawet nie domyśla się, że ten człowiek ma duszę. Może niektórzy sądzą, że ma on duszę bezbarwną, międzynarodową, sklejoną z kawałków, podobnie jak język „Esperanto“ wydaje się im tylko dowolnym zlepkiem, dowolnie a śmiesznie przekręconych słów z rozmaitych języków.

Chyba najlepiej dowiodę błędności tego mniemania, najwyraźniej ukazę wzniosłą duszę twórcy międzynarodowego języka, duszę, ogarniającą ludzkość miłością, duszę, drżącą, że cała jej praca na użytek tej ludzkości pójsć może na

marne, najwymowniej wyrażę indywidualny ton tej duszy — tłómacząc na tym miejscu wiersz d-ra Esperanto „Mia penso“. Będzie to pierwszy przekład wiersza z języka sztucznego na żywą mowę polską *).

MOJA MYŚL.

W ustroniu wiejskim, w wieczór letni,
Siedzące w róż alei,
Znajome dziewczę śpiewa w kółko
Piosenkę o nadziei.
O zawiedzionym życiu czyimś
Prawi żałośnie w pieśni...
Słucham... a w sercu rana stara
Krwawi się wciąż boleśniej.

„Ho, ho, mój panie! Czyś pan zasnął?
„Siedzi pan tak bezwładnie.
„Czy złote widma lat dziecińczych
„Pieśń obudziła zdradnie?
Co miałem odrzec? Nie wypada
Wyznawać cierpień szczerze,
Mówiąc z panienką, co wywczasu
Używa po spacerze.

O, moja myśli, męko moja,
Nadzieje i gorycze!
Ile-m wam złożył cichych ofiar —
Ja sam już nie policzę!
Bo całą młodość, duszę całą
We łzach, uczuciem wzniosłem —
Na władczy rozkaz obowiązku
Na jego ołtarz niosłem.

Dziś serce ogień wewnętrzny pali,
Do życia rwie się dusza —
Lecz od wesołych ludzi zawsze
Uciekać coś mnie zmusza...
Jeśli me trudy, męki na nic.
Los każe, że zmarnieją —
Przyjdź, śmierci, zaraz, weź bez bólu:
Daj konać mi z nadzieją!...

Niewątpliwie, jakąś wielką naiwnością tchnie ten wiersz. Owo zestawienie myśliciela, noszącego w piersi straszną troskę, że olbrzymi wysiłek jego myśli pójdzie na marne, że cała jego praca jest złudzeniem, że wszystkie jego ofiary na nic się nie dadzą, bo twór się nie udał, — zestawienie zboląłego myśliciela z panienką, śpiewającą piosenkę „o zawiedzionym życiu czyimś“ i używającą „wywczasu po spacerze“, nie wydaje się szczęśliwym. A przecie... w tym zestawieniu zdradza się prostota prawdziwie wielkiej duszy, która tak często przypomina duszę dziecka. I z pewnością wylało się w tym wierszu niesztucz-

*) Wiersz ten znajduje się w każdym podręczniku „Lingvo Internacia“ i rozpoczyna się od słów: Sur del kampo, for del mondo i t. d.

ne natchnienie, ale wrażenie chwili, prawda uczucia, sama prawda. Twórca języka sztucznego to typ dziś rzadki. Ongi było takich fantastów wielu. Zapełnili oni szpitale dla obłąkanych. Naszych dni urodził się taki sam fantast. Kto z nas jest w stanie zrozumieć go, odczuć? Kto wie o tym, że całych lat trzeba było, aby wypracować język sztuczny. Pomyślcie tylko: całą mowę ludzką, wszystkie słowa, potrzebne do wyrażenia całych bogactw naszych pojęć. Pomyślcie, że dla napisania owego podstawowego słowniczka z 900 słów, trzeba było przebrać w myśl cały słownik, aby wydobyć zeń pojęcie pierwotne, grające rolę źródłosłowu, od słów pochodnych, które z tamtych dadzą się stworzyć drogą dowcipnych kombinacji. Pomyślcie, że trzeba było zastanowić się nad techniką naszego językowego myślenia, aby wydobyć z niej w rezultacie trzydziestkę zasadniczych sufixów i prefiksów. Miałem sposobność poznać osobiście twórcę „Lingvo internacia“ w chwili, gdy kombinował na zasadzie pierwiastkowego słownika następny, pełny; widziałem go przy pracy. Pochylony był nad grubym zeszytem, którego grubość przypominała atlas: był to słownik porównawczy co najmniej ośmiu języków; każde pojęcie zapisane tam było w wielorakim brzmieniu — ciągnęły się w jednej linii wyrazy o jednym znaczeniu: francuskie, niemieckie, polskie, rosyjskie, łacińskie, włoskie, hiszpańskie, angielskie. Słownik pisany był ręką d-ra Zamenhofa. Ostatnia kolumna była pustą. Tu wpisywał Zamenhof wybrane przez się wyrazy dla języka esperanckiego. Przy każdym wyrazie wypadało się zastanowić, czy już przedtem podobny dźwięk nie został użyty dla oznaczenia innego pojęcia. Mozolna praca, która istotnie sięgała początkiem swoim lat wczesnej młodości i pochłonęła całą młodość. I cały ten trud mógł się nie udać... mógł się skończyć zupełnym fiasco. Zadanie, które przewyższało siły Leibniza, mogło być nierozwiązalne. A twórcę... mógł czekać koniec dotychczasowych językorobów, których 'zgryzło szaleństwo. Co my wiemy o tym stanie duszy?... Doprawdy, nie! Możemy tylko wsłuchać się w wiersz „Mia penso“ i... zrozumieć.

My wszyscy, mówiący o zawiedzionych życiach, jesteśmy w położeniu owej panienki, śpiewającej i odpoczywającej po spacerze. Czy może nas wziąć za powiernika człowiek, który postawił sobie otrzymać ideał—dać ludzkości język, który ją pobrata przez zrozumienie się, a drży, że czeka go olbrzymi zawód po tylu ofiarach, po ofercie całego życia. Piosnka o „zawiezio-

nem życiu czyimś“ asocjacyjnie potrąca serce tego człowieka, serce, które wie o możliwości największego zawodu...

Doprawdy, ten prosty, naiwny wiersz posiada rzewność, szczerłość, posiada poezję. W melancholijnym swoim zakończeniu, w wybuchowym błaganu o śmierć przed rozczarowaniem—nosi on znamię wzniosłości, jest dokumentem ludzkim wielkiej wagi!...

I pieśń ta zabrzmiała obok nas przeszło 16 lat temu—a nikt jej nie usłyszał, nikt jej nie zrozumiał. Prawda, że skarga owa wypowiedziana była w języku obcym—i to w dziwnym języku, w języku, stworzonym przez tego, kto w pieśni tej się skarżył. Żeby zrozumieć ten jęk, trzeba było poświęcić trzy dni czasu na nauczenie się języka. Trzy dni! Tak wiele!—Na nauczenie się języka, którym nikt jeszcze nie mówił! O, my, co tak pożytecznie używamy każdej chwili, nie mogliśmy tyle poświęcić! I jęk ten został niedosłyszany.

A ów niesłyszany... skromnie pracował dalej. Pisał poezje... w swoim języku. Rzecz śmieszna! nieprawdaz?

Zapewniam was jednak, że ów ktoś zdradzał pewien talent poetycki... tworząc w tym swoim języku, choć w tematach wierszy oryginalnych przeważnie uderzył w jedną strunę: zagrzewał braci-esperantystów do pokojowej walki, do zwyciężenia świata ideą braterskiego porozumiewania się ludzi.

Nie interesowano się międzynarodowym Warszawianinem. Ale nie przeszkadzało to międzynarodowcowi interesować się... „Czatami“ Mickiewicza, które dziś w języku esperanckim znaję Francuzi, Niemcy, Szwedzi, Anglicy, Bułgarzy—a nie wiem, czy ta przedziwna balada przetłomaczona została na języki tych wszystkich narodów, t. j., czy inaczej stałaby się dla nich przystępną.

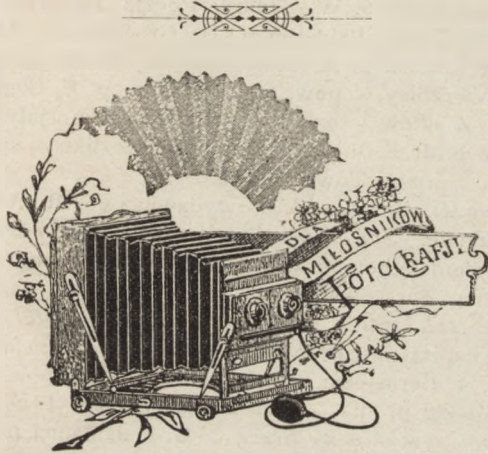
Czy przekład ten był udatny? Moim zdaniem, niezmiernie udatny, choć w dorobku poetyckim Zamenhofa (dziwne zestawienie słów, nieprawdaz?) są przekłady doskonalsze, np. przekład „Hamleta“, są tłumaczenia poprostu świetne „Pieśni studenckiej“ (Gandeamus), niektórych wierszy Heinego i Goethego.

Wypadkowo przekład Autoniego Grabowskiego „Trzech Budrysów“ Mickiewicza, choć obaj tłumacze przewyżczyli jednakową trudność, zaznaczając prawdziwy rytm oryginału,—wydaje mi się dalej lepszym od przekładu „Czatów.“ Ten Polak, tworzący w języku Esperanckim, jest,

moim zdaniem, wybornym poetą tłumaczem (por „Sznorilej de resders“ Moore’a). Oczywiście zestawienia, sądy krytyczne są w danym wypadku niezmiernie trudne. Krytyka literatury esperantycznej nie urodziła się jeszcze. Dają więc wyraz tylko własnemu gustowi — zresztą gust jest ojcem wszelkiej krytyki *).

(C. d. n).

Leo Belmont.

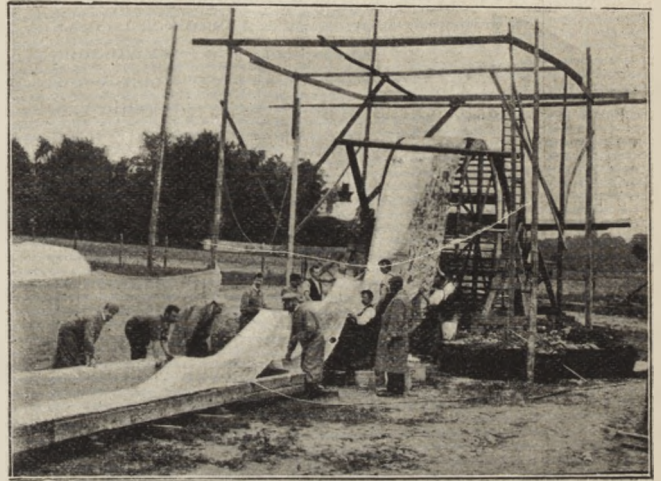


Największa w świecie odbitka fotograficzna.

Niezwykłe zainteresowanie obudziła największa w świecie odbitka fotograficzna, wykonana przez towarzystwo akcyjne papierów bromosrebrnych NPG, o których w kronice fotograficznej „Naokoło Świata“ pisaliśmy. Odbitka ta niesłychanych dotychczas wymiarów, 12 metrów długości i 1½ metra szerokości zrobiona zo-

*) U nas nikt jeszcze się nie domyśla, że język sztuczny stworzył nowe horyzonty filozofii języka. Z czasem powstawać będą całe książki na ten temat. Zestawienie mowy rodzinnej z koncepcjami języka sztucznego daje możliwość lepszego zgłębienia tej mowy od strony logiki wyrażania pojęć. Nie czas jeszcze i nie tu miejsce oświetlenia tej sprawy. Tymczasem zajmują się dzienniki esperantyczne (p. artykuły matematyka Bourlete). My sami pisaliśmy w tej mierze, kierując artykuły nasze do pisma „Lingvo internacia.“ Nawiasem zwracamy uwagę czytelników, że język sztuczny, jak każdy żywy, rozwija się pracą autorów, tłumaczy, stylistów. Każdy naród tym mocniej wpłynie na fizjognomję stylową języka, im wcześniej członkowie jego przystąpią do tej wspólnej roboty. Zadanie polskich esperantystów, jak i esperantystów każdej innej narodowości, polega na oświetleniu sztucznego języka z punktu widzenia swojej mowy rodzinnej (jej sposobów myślenia w słowie), celem dania temu językowi wszystkiego, co jest najlogiczniejsze i najcelowsze w języku ojczystym, a przeszkodzenia wprowadzeniu do niego zwrotów zbyt specyficznych z języków obcych, n. p. germanizmów, niezrozumiałych dla Polaka. Więc każdy naród stwarza tu potok własny, który wlewa się w wspólne źródło. Porozumienie się zachodzi w języku esperanckim w głównym organie wszystkich esperantystów—paryskich „Lingvo Internacia.“ To zasada zakładania towarzystw, które winny podjąć organizację tej pracy na danym gruncie.

stała na czułym papierze NPG. Oczywiście, że do wykończenia jej musiano przygotować specjalne urządzenie. Odbitka, przedstawia widok panoramiczny zatoki neapolitańskiej, zdjęty z zamku San Martino t. j. punktu, najwyżej położonego, z którego widać z jednej strony okolice Neapolu aż po Wezuwjust, a z drugiej



Wywoływanie największej w świecie odbitki fotograficznej.

morze z sylwetką Capri w oddali. Zdjęcie to wykonano częściowo na sześciu płytach wymiaru 21×27 centymetrów. Pojedyncze zdjęcia, przedstawiające każde 1/6 część całkowitego obrazu, powiększono kolejno na jednym, specjalnie wyrobionym papierze do powiększeń, w ten sposób, że powiększenia, łącząc się niepostrzeżenie, uczyniły całość wielkiej monumentalnej odbitki. Każde więc zdjęcie powiększono na format 1½ × 2 metr. Do powiększenia użyto latarki powiększającej



Retuszowania największej w świecie odbitki fotograficznej.

z kondensatorem o 32 centymetrach. Połączenia poszczególnych obrazów dokonano tak zręcznie, że trudno odróżnić, gdzie obraz się zaczyna, a gdzie kończy. Była to trudność nielada, gdyż nie wszystkie negatywy wymagały jednakowej ekspozycji przy powiększeniu. Do wywołania olbrzymiego papieru, na którym powstała odbitka—powiększenie, użyto koła olbrzymiego

o 4 metr. średnicy 1,75 metr. szerokości, 12½ metr. obwodu z 90 szprychami. Do wywołania, utrwalenia i moczenia w kwasie octowym obrazu użyto olbrzymich kadzi, mogących pomieścić 2 metry sześciennie płynu. W kadzi te wstawiano kolejno olbrzymie koła, obracając na nim wywoływany obraz.

Części, wymagające większej siły, maczano gąbką, napojoną wywoływaczem, a wymagające słabszego wywołania oblewano roztworem kwasu octowego. Wywoływaczem był szczawian żelaza. Po wywołaniu obraz cały trzymano w roztworze kwasu octowego przez 20 minut dla nadania białości, po wypłukaniu zaś utrwalano przez ¾ godziny w podsiarkonie sodu. Ostateczne płukanie w wodzie bieżącej trwało 8 godzin. Tyleż t. j. ośm godzin czasu papier z gotową odbitką sechł na kole. Operacje, wymagające laboratorium fotograficznego, jak np. wywoływanie, uskutecziano na otwartym powietrzu, w nocy, przy świetle lamp elektrycznych łukowych, posiadających klosze czerwone.

Po udaniu się jednej wykończono kilka podobnych olbrzymich odbitek. Jedną z nich ma być przesłana na wystawę powszechną w St. Louis w r. b., inna z nich ma być przesłana do Warszawy, gdzie wystawioną będzie na cel dobroczynny. Retusz na odbitce wykonano o tyle tylko, o ile okazał się koniecznym, tak że przy olbrzymiej wielkości jest on prawie niedostrzegalnym. Przy niniejszym artykule załączamy 2 rysunki, ilustrujące tę monumentalną pracę fotograficzną.

Władysław Karoli.

Książki i Czasopisma.

Wł. M. Kozłowski. *Zasady przyrodoznawstwa w świetle teorii poznania*. Wydawnictwo Przeglądu Filozoficznego. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i S-ka, Krak.-Przedmieście 9. Cena 1 rb.

Kobieta współczesna. Książka zbiorowa. Wydawnictwo tygodnika „Bluszcz.” Warszawa. Skład główny w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Esmein. Prawo konstytucyjne. Dodatek kwartalny do „Ogniwa” 1904 kw. I, ark. 20—28.

Fryderyk Tracy. Wiek dziecięcy. Studium psychologiczne. Z 5 wydania angielskiego przełożył Kazimierz Król. Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego”. Rok 1903.

G. Stanley Hall. *Znaczenie studjów nad dziećmi*. Przełożył z niemieckiego Kazimierz Król. Dodatek do „Przeglądu Pedagogicznego.” Rok 1903.

J. S. Czarnowski. *Jaskinie okolic Ojcowa*. Czażka z jaskini Oborzysko Wielkie na lewym brzegu Prądnika.

Niemiecko-polski słownik matematyczny, ułożony przez Zurychskie kółko matematyczno-techniczne. Wydanie I. Zurych. 1904.

Listek, miesięcznik, poświęcony miłośnikom kart pocztowych ilustrowanych. № 1, 2, 3. Redaktor i wydawca Albin Jurewicz. Bracka 20, w Warszawie.

Prof. dr. M. Hahn. O wyborze zawodu. Praca zawodowa a właściwości organizmu. Przełożył dr. Zygmunt Szymanowski. Warszawa. G. Centnerszwer i Ska.

Tablica chronologiczna do dziejów Polski, zesta-

wił Jan Zahorski. Warszawa. Nakładem G. Centnerszvera i S-ki.

Lud, organ Towarzystwa Ludoznawczego we Lwowie pod redakcją K. Potkańskiego i S. Udzieli. Tom X. Zeszyt I. W Krakowie MCMIV. Nakładem Towarzystwa Ludoznawczego. W drukarni Uniwersytetu Jagiellońskiego. Treść I zeszytu: Od redakcji. Fliścacy przez dr. M. Janika. Ludowe nazwy miejscowe w powiecie brzeskim w Galicji przez dr. K. Matyasa. Widowiska w czasie świąt Bożego Narodzenia (Sucha, powiat żywiecki) przez S. Goneta. Husów, wieś powiatu łańcuckiego p. W. Badurę. Poezja na wsi p. S. Udzielę. Sruł Rabi Bal-Szim p. H. Grochowską. Opis wesela w Liskach p. A. Siewińskiego. Pieśni ludowe ze wsi Wierzbicy w pow. miechowskim p. E. Ciechanowską. Z aktów i rozpraw sądowych. Materiały historyczne p. dr. F. Bujaka. Rozmaitości. Rozbiory i sprawozdania. Sprawy Towarzystwa.

Książki dla wszystkich, wydawnictwo M. Arcta w Warszawie: *Starożytna Grecja i jej urzędnicy* napisała Stefanja Stempkowska; *Grunwald*, monografia historyczna, opracował Mieczysław Offmański; *Czechy i naród czeski*, część I, napisała Antoszka; *Krótki rys fizyki II*, napisał Stanisław Bouffał. *O prędkości światła*, przez dr. A. Bernsteina, przełożył S. B. *O obrocie ziemi dookoła osi* p. dr. A. Bernsteina, przełożył S. B. *Wychowanie wychowawcy* przez C. G. Salzmann, przełożyła Zofja Sennewald; *Higijena wieku dziecięcego* przez dr. J. Trumpa, opracował dr. Wł. Sterling; *Jak badać umysł dziecka* przez Anielę Szycównę. Wydanie II. *Co każda matka swojej dorastającej córce powiedzieć powinna*, napisała Izabela Moszczeńska. *Odezwia do męskiej młodzieży*, odczyt dr. Aleksandra Herzena, przełożył dr. C. *Zarys historii literatury niemieckiej*, napisał Wł. Osterloff. Część II. *O poematach Marji Konopnickiej „Prometeusz i Syzyf” i „Pan Balcer w Brazylji”* skreślił H. Galle. *Ekstaza*, napisał dr. Tomasz Achelis, z oryginału niemieckiego streścił Józef Muklanowicz. *Mięso czy pokarmy roślinne*, napisał dr. Józef Drzewiecki.

Kronika Esperantyczna.

„Progresado estas vivo.”



„R-stado estas morto.”

„Grupy”, „Kluby”, „Towarzystwa” Esperantyczne.

(Ciąg dalszy).

Lille (Francja)—Prezes Towarzystwa: M. Damien, prof. i dziekan uniw., Rue Brule-Maison, 47. Sekretarz generalny: dr. René Paillot, przewodniczący de „L'Union Française de la Jeunesse.” Boulevard Montebello, 53.

Lima (Peru — Ameryka Południowa). „Sociedad Esperantista Peruana.” Prezes Towarzystwa: dr. Federico Villareal, profesor i dziekan uniwersytetu. *Wice-Prezesowie*: Dr. Enrique Guzman y Valle, prof. uniw. i dr. Antonino Alvarado aptekarz i prof. uniwersytetu. *Członkowie Komitetu*: Dr. Artidoro Garcia Godos, prof. uniw.; dr. Nicolás B. Hermoza, prof. uniw.; dr. Santiago M. Basurco, architekt i prof.; dr. Ramón Espinoza,

deputowany i przewodniczący Towarzystwa Dyrektorów Szkół Peruańskich; dr Juan Ramos Palacios i Armando Filomeno, dyrektorowie szkół. *Kasjer*: Victor Suárez, nauczyciel. *Sekretarze*: Ricardo Noel i Celso Mena, nauczyciele.

Logrono (Hiszpanja)—*Prezes* Towarzystwa: Julio Foria. *Sekretarz*: José Ma Baigorri.

Londyn. Towarzystw Esperantycznych w Londynie jest obecnie cztery, a mianowicie: 1) „The London Esperanto Club, 41, Outer Temple, W. C. *Prezes*: Felix Moscheles. *Sekretarz Honorowy*: H. Bolingbroke Mudie. *Kasjer*: W. T. Stead, naczelny redaktor miesięcznika: „The Review of Reviews.“ 2) „Klub Esperantyczny,” założony przez Mr. A. Motteau (157, Earham Grove, Forest Gate E. 157), którego *Sekretarzem* jest Mr. J. Beale, 74, Claremont Road. — 3) Towarzystwo Esperantyczne w dzielnicy Battersea, którego *Sekretarzem Honorowym* jest Mr. Alexander E. Lee, (2 Cuper) Rd. 2, Battersea, London S. W. i wreszcie: 4) „Sekcja Esperantyczna“ przy t. zw. „Braillea Korespondada Klubu“ (dla ociemniałych), zorganizowana przez *Prezesa* tegoż klubu Mr. Phelps, której *Sekretarzem* jest Mr. W. P. Merrick, The Manor Farm, Shepperton.

Longwy (Francja). Towarzystwo Esperantyczne pod nazwą: „Groupe Esperantiste du Bassin Minier de Longwy,” założone w lutym r. b. przez braci baronów d'Huart oraz p. p. Dreux, Nahan, Clère i Thomas. *Sekretarz* Towarzystwa: Marcel Finot, prof. liceum miejscowego.

Louhans (Francja) „Klub Esperantyczny.“ *Prezes-Założyciel*: Gabriel Chavet. *Sekretarz*: Charles Danne-müller (1897).

Louvain (Belgja). Rozwijają się tu świetnie trzy Towarzystwa, a mianowicie: 1) „Esperantista Katolik-Universitata Klubu“ (przy uniwersytecie). *Sekretarz*: P. Mattelaer, Place de l'Université, 3 — 2) „Esperantista Lovena Grupo.“ Siedziba Towarzystwa: „Café Monico,” Rue de Diest *Prezes*: Edm. Vandieren. *Sekretarz*: R. Dekeyser i wreszcie: 3) „Towarzystwo Esperantyczne Damskie,” składające się głównie z uczennic prof. Eug. Mathys. *Sekretarka* panna Cl. Nythals.

Lozanna-Lausanne (Szwajcarja). — *Prezes* Towarzystwa: Eug. Failletaz, Clos des Marguerites-Valentin.

Ljon — *Prezes* Towarzystwa: dr. J. R. Lépine czł.-koresp. akad. franc. i prof. uniw. *Sekretarz generalny*: Albert Offret, prof. uniw. i wice-prezydent francuskiego Towarzystwa Mineralogicznego, Chemin des Pins, 53. (Jest to jedno z najliczniejszych i najważniejszych Towarzystw Esperantycznych).

Oprócz powyższego Towarzystwa jest nadto w Ljonie niemniej świetnie rozwijający się, a założony w lutym r. b. „Klub Esperantyczny,” którego głównym zadaniem jest doskonalenie się członków w konwersacji esperantycznej. Nazwisk członków zarządu nie posiadamy jeszcze.

(C. d. n.)

abb.

Kronika pogody.

Nader zmienny i niekiedy zgoła nieprzewidziany był przebieg stanu pogody w tygodniu ubiegłym (od d. 21 do 28 kwietnia). Po kilku ciepłych, a nawet gorących dniach, nastąpiło raptowne prawie oziębienie powietrza, połączone z drobnymi, lecz nieprędko ustającymi deszczami. Główną przyczyną tej zmiany pogody były niskie ciśnienia powietrza, jakie utworzyły się na północy Europy. Na Węgrzech przeszła gwałtowna burza, która wkrótce nawiedziła i okolice Warszawy. Środek depressji barometrycznej utrzymywał się przez cały tydzień na półwyspie Skandynawskim, a najniższe ciśnienie notowano d. 26 kwietnia w Bode (741 milim.) Na południu Europy były również niskie ciśnienia ze środkami depressji we Włoszech i na Sardinji; wysokie ciśnienia bez zmiany na wschodzie przeważnie (w Samarze notowano środek wysokiego ciśnienia) i południu zachodzie Europy. W większości stacji Europy Środkowej pogoda była dżdżysta, pochmurna, przy obniżeniu temperatury G. 7.

PRZEMYSŁ I HANDEL KRAJOWY.

(nad.).

Znany łódzki skład obić papierowych p. **Adolfa Butschkata**, mieszczący się w Łodzi w domu własnym, przy ul. Długiej **Nr. 95**, otworzył sklep w Warszawie, przy ul. **Zgoda Nr. 15**. Zakład ten, prowadzony z wielkim powodzeniem już od lat 37, jest zaopatrzonej w obfity wybór obić papierowych w ilości kilku tysięcy — z cenniejszych fabryk krajowych i zagranicznych. Długoletnie doświadczenie, znajomość fachu, oraz trwałe stosunki z pierwszorzędnymi fabrykami dają p. Butschkatowi możliwość dostarczania towaru wyborowego, gustownego i wykwinnie wykończonego po względnie niskich cenach. **Obicia, szlaki, fryzy i listwy tapetowe** ze składu p. Butschkata mogą zadowolić najwybredniejsze wymagania publiczności. Najlepszym dowodem, jakim poważaniem cieszy się firma ta w Łodzi, jest wybranie jej przedstawiciela na Starszego Zgromadzenia. Niewątpliwie uznanie ogólne spotka p. Butschkata i w Warszawie.

Pp. **S. Modliński i S-ka**, długoletni pracownicy firmy „A. Włodkowski“ oraz „L. Miaskowski i S-ka“ otworzyli **Magazyn towarów meblowych** w wielkim gmachu dochodowym Teatrów Rządowych, przy ul. **Wierzbowej Nr. 8**. Właściciele firmy, posiadający długoletnie doświadczenie zawodowe, poczynili osobiście zakupy w fabrykach krajowych francuskich i angielskich w celu zaopatrzenia magazynu w doborowe towary, jako to: dywany, pokrycia na meble, firanki i story, chodniki, portjery, kapy, serwety i t. p. Przedsiębiorstwo p. f. „S. Modliński i S-ka“ nie jest obliczone na krótką metę, lecz rozporządza odpowiednimi środkami, co mu daje podstawę i możliwość prawidłowego rozwoju. Znajomość zaś zawodu ze strony właścicieli jest dla kupującej publiczności dostateczną rękojmią, że towary firmy „S. Modliński i S-ka“ zadowolą najwybredniejsze wymagania pod względem dobroci i trwałości materiałów, jak również pod względem gustu. Ceny możliwie przystępne, oparte na ścisłej, niespekulacyjnej kalkulacji kupieckiej.

PIOTRA STEINKELLERA

Życiorys znajduje się w „Złotej księżce pracy i zasługi.“ Cena w kartonie 20 kop. Do nabycia w księgarniach i Administracji tyg. „Naokoło Świata.“ Z przes. poczt. 35 kop.

DLA TEGO NAJTANIEJ! dywany, portjery, firanki, serwety, kapy, kołdry watowe i pluszowe, chodniki, plusze, gobeliny, burety, utrechty itp. **ŻE NA I-em PIĘTRZE** w składzie **Henryka Radeckiego.** Marszałkowska № 112, I-e piętro, przy ulicy Chmielnej. 138 24—11

Telefon № 2426.

Skład tytoniu

J. Chorzenko

77. w Warszawie, ulica Marszałkowska 77.

Firma powyższa niewątpliwie zadowolni każdego, kto lubi

dobrze tytonie, cygara i papierosy,

jest bowiem zawsze zaopatrzona

w wielki wybór 10—7

najlepszej flory tytoniowej Turcji, Kaukazu i Krymu.

Szkoła komercyjna Edwarda Rontalera z prawami szkół rządowych realnych w Warszawie, ulica Kaliksta 6, składa się z klasy podwstępnej, wstępnej i 7 klas ogólnie kształcących. Do wstępnych klas przyjmowane są dzieci od 8 do 11 lat, do 1 klasy od 10 do 13 lat. Nowy program szkoły i jej ustawa jest do nabycia w księgarni Wendego w Warszawie, Krakowskie Przedmieście 9.

Kursy agronomiczne 3 letnie z prawami szkół rządowych, na które przyjmowani są bez egzaminu uczniowie, kończący 4 klasy szkół komercyjnych lub szkół realnych rządowych. Uczniowie gimnazjum, promowani do klasy 5 mogą wstąpić na 1 kurs z dodatkowym egzaminem z języków nowożytnych i fizyki. Uczniowie szkół prywatnych muszą zdawać egzaminy ze wszystkich przedmiotów podług programu czterech klas szkoły komercyjnej.

Egzaminy kandydatów nowowstępujących odbywają się w dwu terminach: od 14 do 17 maja i od 1 do 5 września nowego stylu. 4—4

F. Załęski, B-cia Rudniccy i A. Gradenwic

Warszawa. Chmielna 26.

SKŁAD MASZYN I NARZĘDZI ROLNICZYCH

poleca:

Brony sprężynowe szwedzkie.

Siewniki do nawozów sztucznych „Westfalia.“

Separatory do mleka „Alfa.“ 8—4

Żniwiarki, Kosiarki i Grabie ameryk. „Plano.“

Treść № 18: Indje (ciąg dalszy — z rysunkami) w przekładzie *Józefa Janowskiego*. — Wrażliwość roślin i ich ruchy przez *Jadwigę Wodzińską*. — Współczesna żegluga morska (ciąg dalszy) napisał *Marjusz Zaruski*. — Śmierć, zabobony, i obrzędy pogrzebowe (ciąg dalszy—z rysunkami) streścił *K. H.*—Morze w życiu narodów przez *P. W.* — Na kanwie esperanckiej (ciąg dalszy) przez *Leo Belmont*.—Dla miłośników fotografii (z rysunkami) przez *Władysława Karolego*. — Książki i czasopisma. — Kronika esperantyczna (ciąg dalszy) przez *abb* — Kronika pogody przez *G. T.* — Handel i przemysł krajowy. — Ogłoszenia.

Treść „Biblioteki ilustrowanej podróży i powieści:“ Biały wódz. Opowiadanie z życia mieszkańców Ameryki Środkowej przez *Mayne Reid'a* (str. 185—192).—Azja w płomieniach, powieść *Féli-Brugière* i *Louis Gattine*, tłumaczyła *A. Wodzińska* (str. 137—144).

Warunki przedpłaty Tygodnika „Naokoło Świata:“ w Warszawie rocznie *rb. 4*, półrocznie *rb. 2*, kwartalnie *rb. 1*. Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie *rb. 5*, półrocznie *rb. 2.50*, kwartalnie *rb. 1.25*. Zagranicą rocznie *rb. 6*; wraz z „Biblioteką ilustrowaną podróży i powieści:“ w Warszawie rocznie *rb. 6*, półrocznie *rb. 3*, kwartalnie *rb. 1 kop. 50*.—Na prowincji i w Cesarstwie: rocznie *rb. 7 kop. 50*, półrocznie *rb. 3 kop. 75*, kwartalnie *rb. 1 kop. 88*. Za granicą *rb. 9*.— Za odnośnienie do domu *15 kop.* kwartalnie.—Zmiana adresu *kop. 20*.—Cena numeru *kop. 10*.

Agientura w Łodzi:
Księgarnia L. Fiszer, a,
Piotrkowska № 48.

Adres Redakcji i Administracji:
Warszawa, ulica Wspólna Nr. 71.

Agientura w Częstochowie:
Księgarnia J. Nowickiego i S-ki,
Aleja II № 43.

Wydawca: **Antoni Orłowski.**

Za redaktora: **Antoni Orłowski.**